Nr. 12. We Lwowie dnia 20. marca 1898. Rok 6.



Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego“

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

JAN KUDLICH.

Zatarło się już w pamięci żyjących nazwisko które niegdyś przed 50. laty, elektryzowało tłumy — nazwisko Jana Kudlicha, który był uosobieniem wolności, jej obrońcą i rycerzem.

Rycerz-chłop, czyż to nie godne zastanowienia? Rycerz z czynów, a chłop z urodzenia, to okaz, który w zwykłych warunkach jest rzadkością, ale pojawia się na widownię w czasie kataklizmów i zamieszek dziejowych. Takiego bojownika niskiego pochodzenia wydała przy schyłku zeszłego wieku wielka rewolucja francuska, takiego szermierza z dymnej chaty, który wprawdzie na znikomą tylko chwilę zabłysnął, pokazał światu rok 1848.

Że syn ubogiego kmiotka rwie się do nauk, wchłania w siebie poważny zasób wiedzy, to w dzisiejszych czasach dość często się zdarza, do wyjątków jednak zaliczyć należy, gdy wzniósłszy się na wyższe szczeble drabiny społecznej, nie zapiera się swego pochodzenia, lecz głośno i otwarcie woła: „Patrzcie, ja chłop z ojców i praojców, z pracy się utrzymuję, za pracę walczę, z pracowitymi cierpię!“

Nie były to czcze frazesy w ustach Kudlicha, bo kiedy w październiku roku 1848 ks. Windischgrätz oblegał Wiedeń, siejąc zniszczenie, Kudlich skupił około siebie chłopów i z ich pomocą postanowił uwolnić miasto. Wprawdzie plan ten nie doszedł do skutku, ale doczytać się i dorozumieć z niego można wiele. I tak z jednej strony na tak śmiałą, awanturniczą myśl mógł poważny człowiek zdobyć się tylko w zupełnej pewności swego znaczenia, swej mocy i potęgi, z drugiej strony, jak przejęte ślepą wiarą weń musiały być owe zastępy chłopstwa, które się odważyły nadstawiać bezbronną pierś na karabiny i armaty wojska? Cóż to dziwnego, wszak chłopi uważali swego Jana za bożyszcze, opiekujące się ich losem.

Bożyszcze-chłop! Czyż nie dziwne zestawienie?

Kiedy szary tłum okrywa zasłona nieuctwa i nieświadomości, wówczas potrafi tylko tego poczytywać i czcić jako wyższego, kto może, otoczony blaskiem, świecić wśród ciemności, czyli jednem słowem, umie łudzić i mamić zewnętrznemi pozorami. Kiedy jednak zasłona spadnie i jutrznia w umysłach tłumu zaświta, wówczas ten tylko w jego oczach może uchodzić za wyższego, kto mu wskaże zjawisko wschodu słońca, t. j. w oczach tłumu wzrasta.

Tak było w danym wypadku. Jan Kudlich nie zdołałby był z pewnością wywrzeć takiego wpływu na masę chłopską, gdyby nie ta okoliczność, że chłopem był z krwi i kości, z dziadów i pradziadów, że liberalizm jego był objawem naturalnym, a nie sztucznie przypiętym i na pokaz noszonym, że sam w młodości idąc za pługiem i widząc ciężką pracę swego otoczenia, mógł potem odczuć potrzeby ludu i trafiać w samo sedno jego dążeń i pragnień.

Takim był ów szermierz wolności przed 50. laty. Jakim się obecnie przedstawia? Na to pytanie odpowiada do pewnego stopnia Jan Kudlich w liście, przesłanym do jednego z dzienników niemieckich z Ameryki, gdzie po roku 1848. stale zamieszkał:

„Wszystko mija i my, miasta, państwa ulegamy zmianom, toteż z tego powodu nie wolno nam w każdym wypadku i chwili robić obrachunku z drugimi. Jak przed pół wiekiem byłem optymistą, tak teraz jestem pesymistą w najszerszem tego słowa znaczeniu. Zmiana

ta pochodzi częściowo z nabytego doświadczenia, po części jednak jest wypływem starości".

Tak określa zmiany, które w nim zaszły w ciągu 50. lat, staruszek posiwiały, żyjący wspomnieniem dawniejszych lepszych czasów i z za Atlantyku przypominający się nielicznym osobom, które zachowały dotychczas pamięć o tym, którego znały kiedyś krocie.

Prawdęś powiedział, Janie Kudlichu, że *tempora mutantur et nos mutamur in illis.*.

Bartek M.



Kartki naukowe.

Przez

Dr. M. Stefanowską.

Jak walczymy z naszymi wrogami?



W jednej z poprzednich „Kartek" [1]) mówiliśmy obszernie o rozmaitych mikrobach i innych drobnoustrojach, które rozmnożywszy się w organizmie ludzkim albo zwierzęcym, sprawiają w nim rozmaite zaburzenia, zwane chorobami; znanem jest bowiem teraz, że pasorzyty są przyczyną większości chorób. Mówiliśmy także o tem, że zarodki owych drobnych pasorzytów unoszą się w wielkiej ilości w powietrzu w postaci drobniuchnego pyłku, a w wodzie są one jeszcze liczniejsze. Według niektórych obliczeń metr sześcienny powietrza zawierać może 27000 mikrobów; litr zaś wody z rzeki Sekwany zawiera ich do 200.000. Jeżeli przypuścimy teraz, że w przeciągu 24 godzin wypijamy przeciętnie 2 litry wody i wdychamy dwadzieścia metrów sześciennych powietrza, to po obliczeniu dochodzimy do wniosku, że przez płuca i kanał pokarmowy wprowadzamy do swego organizmu około miljona rozmaitych zarodków i to przy normalnych warunkach, bez żadnej epidemji.

Co się stanie z organizmem, który codziennie pochłania tyle pasorzytów? Wprawdzie nabłonek płuc oraz kanału pokarmowego zatrzymuje znaczną część pasorzytów, jednakże przez szparki nabłonka, zarodki dostać się mogą łatwo do krwi, a wówczas powinnyby rozmnożyć się w niej miljardami, ponieważ wiemy, że niższe istoty mnożą się niesłychanie szybko.

A jednak krew zdrowego człowieka nie zawiera prawie żadnych mikrobów. Ludzie, otoczeni dokoła wrogami, spokojnie żyją i są zdrowi. Co to ma znaczyć? Czyżby teorja o szkodliwości mikrobów miała być czczym wymysłem? Bynajmniej. Wyjaśnienie owej zagadki tkwi w tem, że „organizm posiada własne środki obrony, za pomocą których walczy z otaczającymi wrogami i niszczy je nieustannie". A ta zwycięzka walka z mikrobami stanowi właśnie zdrowie w normalnym stanie.

Sposób, za pomocą którego organizm nasz pozbywa się codziennie napastników, jest tak zadziwiający, iż wydaje się niemal nieprawdopodobnym. Dodajmy, że nauka ostatniemi dopiero laty odkryła tę tajemnicę życia. Oto na czem ona polega:

We krwi ludzkiej, oraz we krwi wyższych zwierząt, żyje stale mnóstwo maleńkich istotek, niewidzialnych gołem okiem, lecz widzialnych pod mikroskopem. Są to białe galaretowate kuleczki, które nazwano „białemi ciałkami krwi (albo leukocytami, fagocytami itp.). Kształt ich ciała wciąż się zmieniać może, to się wydłuża, to kurczy, to wypuszcza ze siebie kilka ramion i przybiera postać gwiazdki, to znowu potem staje się kuleczką. Owe istotki swobodnie pływają w naszej krwi, stanowią one część nas samych i nie tylko nie szkodzą nam swą obecnością, ale przeciwnie, stoją na straży naszego bezpieczeństwa, a to w sposób następujący.

Gdy białe ciałko krwi napotka na swej drodze mikroba, to natychmiast chwyta go, otacza swemi ramionami, wciąga wewnątrz siebie i trawi. Zjawisko to dobrze zaobserwowane było przed kilkunastu laty przez Miecznikowa. Leukocyty żywią się przeto mikrobami zupełnie tak samo, jak inne drobniuchne istotki, jak np „ameby". które znaleźć można w wilgotnej ziemi i do których leukocyty są bardzo podobne.

Tym sposobem białe ciałka wciąż zjadają mikroby, które dostały się do naszej krwi. Nie dosyć na tem. Pasorzyty mogą dostać się nie tylko do naczyń krwionośnych, ale także do tkanek oraz płynów, znajdujących się poza obrębem naczyń. I w tym wypadku białe ciałka krwi śpieszą na pomoc. Badając otrzewne żaby pod mikroskopem, zauważono, że leukocyty mają swobodę ruchów, że zapomocą swych ramion przedzierają się przez ścianki naczyń, w których były zamknięte i wędrują do miesjca opanowanego przez mikroby.

Jakim sposobem leukocyty wiedzieć mogą, z której strony niebezpieczeństwo grozi organizmowi? Jestto także jedna z tajemnic, poczęści odkrytych ostatniemi laty. Przekonano się, że leukocyty istotnie „wiedzą" dokąd kierować się mają, a to dzięki temu, że one są niewypowiedzianie „wrażliwe" na pewne płyny chemiczne i „czują te płyny już z daleka, podobnie jak my z odległości poznajemy przed-

[1]) Patrz: O wpływie nauk przyrodniczych na postępy medycyny.

mioty po zapachu. Ale ze wszystkich płynów najwięcej, jak się zdaje, dla leukocytów pociągającemi są trucizny, które mikroby wydzielają ze siebie, dlatego leukocyty, czyli białe ciałka krwi śpieszą tam głównie, gdzie są mikroby.

Objaśnijmy to ciekawe zjawisko fizjologiczne na przykładzie. Przypuśćmy, że zwierzęciu pod skórę wstrzyknięto kroplę płynu, zawierającego wiele mikrobów. Za kilka godzin w tem miejscu nagromadzi się mnóstwo białych ciałek krwi, które opuściły naczynia włoskowate i przywędrowały do zakażonego miejsca, poznajemy ich obecność po tem, że w tym punkcie, zebrał się biały płyn, czyli, jak mówią, zebrała się „materja, ropa“; słowem sformował się wrzód. „Materja“ zatem jest nie co innego, jeno wysiąk surowicy krwi, z którą przywędrowały razem białe ciałka krwi. Maszerują one, jak wojsko do ataku. a przybywszy na pole bitwy, chwytają szkodliwe pasorzyty i pożerają takowe. Tym sposobem objaśnia się, dlaczego przy zdrowym stanie organizmu bakterje nie mogą rozmnożyć się we krwi, pomimo iż względnie łatwo dostać się do niej mogą.

Dodajmy, że leukocyty bronią w ten sposób organizm nie tylko od bakterji, ale i od innych obcych ciał. Robiono naprzykład następujące doświadczenie. Wstrzykiwano zwierzęciu do krwi nieco proszku karminu i zauważono, że ilość leukocytów we krwi natychmiast się zmniejszyła, tak iż po upływie kwadransa została ich zaledwo czwarta część, reszta leukocytów, porwawszy ziareczka proszku we krwi zniknęła.

Przytoczymy teraz kilka liczb, dla wykazania; jak doniosłą jest owa obrona leukocytów. Obliczają, że dorosły człowiek posiada w przybliżeniu 5 litrów krwi, w której znajduje się około 75 miljardów białych ciałek, w kwadrans po zastrzyknięciu do krwi proszku karminu, zniknęło około 50 miljardów białych ciałek krwi.

Co się dzieje ze znikłemi leukocytami, nie jest jeszcze dokładnie zbadanem. Być może gromadzą się one w gruczołach limfatycznych, w śledzionie i wątrobie i tam ulegają zniszczeniu. A pozostałe we krwi leukocyty mnożąc się, zapełniają opustoszałe miejsca po znikłych współbraciach.

Nieustanne czuwanie leukocytów nad bezpieczeństwem organizmu jest niezbędnem wobec niezliczonych zastępów pasorzytów, otaczających nas dokoła. Jednakże pomimo całej czynności leukocytów usługi ich są do pewnego stopnia ograniczone. Istotnie gdyby leukocyty były w stanie zawsze zwalczyć wroga, to nie istniałyby żadne choroby zakaźne, gdyż w przeciągu godziny lub dwóch leukocyty zniszczyłyby wszystkie szkodliwe mikroby i organizm by oswobodziły. Zdarza się jednak często,że wybucha choroba, spowodowana tem, że miały czas rozwinąć się mikroby chorobotwórcze. Organizm musi przeto posiadać inny jeszcze sposób pozbycia się tych intruzów i pozbywa się ich istotnie, dzięki własnościom swej krwi.

Przekonano się wielokrotnie, że krew nasza nie sprzyja rozwojowi mikrobów, zabija ona je szybko, tak jakgdyby zawierała w sobie substancje antiseptyczne. Jestto odkrycie naukowe bardzo świeżej daty. Dowiedziono, że gdy w świeżej krwi zasiać bakterje, to liczba ich szybko się zmniejsza.

Nakoniec dodamy, że nie tylko krew, ale inne płyny organizmu, jako to: mleko, białko jajka, ślina, sok gastryczny, żółć itp. są zabójcze dla niektórych bakterji.

Dochodzimy przeto do wniosku, że dopóki jesteśmy zdrowi, to leukocyty oraz krew nasza wystarczająco bronią nas od mikrobów. Ale gdy wskutek zaburzeń zmienia się chemiczny skład naszej krwi, wówczas traci ona swe własności i dlatego organizm staje się mniej zdolnym do walki, czyli, jak mówią, staje się mniej odpornym. Dochodzi nawet do tego, że zupełnie walczyć przestaje; wtedy następuje kres jego życia

Dzieło zniszczenia, jakiego dokonać mogą mikroby, najwidoczniejszem jest zaraz po śmierci organizmu; tkanki jego utraciły swe własności chemiczne, wskutek wstrzymania się obiegu krwi. Nic teraz nie stawia oporu pasorzytom, to też mikroby, które za życia organizmu były bezsilne, szybko wytwarzają po jego śmierci fermentacje gnilne i ciało w proch rozsypują.



Z pobytu Władysława Żeleńskiego w Pradze.

—※ WSPOMNIENIE Z R. 1860—1, ※—

skreślił

Łukasz Wielkopolanin.

(Ciąg dalszy).



Chcąc się oddać specjalnie położnictwu, zamierzyłem na dalsze studja udać się do Pragi. Tam bowiem istnieje wielki, a jedyny w swoim rodzaju zakład publiczny, połączony z kliniką, do którego z całych Czech przyjmowane są na czas słabości, bezpłatnie ubogie kobiety. Obok głównego gmachu znajdują się tak zwane koszary, przeznaczone dla kilkudziesięciu akademików i lekarzy, zapisanych na specjalny kurs położnictwa. Otrzymują oni pomieszkanie i usługę

darmo przez 6 tygodni i są obowiązani dzień i noc być w pogotowiu, aby partjami asystować i pomagać przy odbywających się połogach. Ponieważ zakład zwykle jest przepełniony, a liczba kobiet brzemiennych nieraz dochodzi do dwustu, więc w krótkim czasie można widzieć wiele połogów i nabyć dużo praktyki, zręczności i wprawy w wykonywaniu sztuki akuszerskiej. Nie minie doba, żeby się nie zdarzyło kilku wypadków rodzenia. Dniem a szczególniej nocą jęczy przeraźliwie w koszarach raz po raz dzwonek, sygnalizujący, że nowy obywatel świata ma się niebawem pojawić. Oddział wyznaczony medyków śpieszy na jego przyjęcie, które mu nieraz, niestety, rękoczynem — jak mawiał nieodżałowanej pamięci prof. Skobel w Krakowie — kleszczami lub innemi szpetnemi narzędziami ułatwiać trzeba.

Pan Seweryn zamiar mój pochwalił, a przytem, mając zawsze politykę narodową na oku, zalecał, abym w chwilach wolnych od nauki starał się bliżej zapoznać i wejść w związki ściślejsze z uczącą się młodzieżą czeską i innych ludów słowiańskich dla zainteresowania ich sprawą polską i poruszenia do wspólnej pracy nad odzyskaniem wolności, gdyż wszyscy pozostajemy w niewoli to Moskala, to Niemca, to Turka. Oprócz tego podwyższył mi zaraz pensję i przy tej sposobności powiedział pamiętne dla mnie do dzisiaj słowa: „My, Polacy, mamy taką szelmowską naturę, że ani rusz nie potrafimy utrzymać przy sobie pieniędzy, a co się tyczy młodzieży, ta już na całym świecie ma ręce jak rzeszota, więc nigdy nie liczy się z groszem. Dla tego otrzymywać będziesz pensję miesięcznie. W razie, gdy ci nie wystarczy do końca miesiąca, wtedy będziesz pościł dni kilka, czem — zyskasz łaski u mej Kaśki. (Tu zwrócił się z uśmiechem do swej żony, która była wielką rygorystką nie tylko co do postów, ale wogóle praktyk religijnych). O jedno cię tylko proszę: nie rób długów i nie graj w karty; bo one są zwykle źródłem wielu nikczemności i demoralizują człowieka. Jeden tylko dług jest godziwy i honorowy, który przez całe życie spłacać powinniśmy: dług wobec ojczyzny! na tę kartę i życie stawić należy, gdy tego zajdzie potrzeba!“ Danego wówczas przyrzeczenia dotrzymałem święcie. Nigdym nie grał w karty i do dziś nie wiem, co to jest weksel lub jakikolwiek inny skrypt dłużny, bom go nigdy nie podpisywał.

Już w pierwszych dniach października r. 1860 pospieszyłem do Pragi z zamiarem zainstalowania się odrazu w koszarach położniczych. Rachuba jednak zawiodła; miejsce już było zajęte; trzeba było wprzódy zapisać się na wszechnicę i czekać kolejki. Na wstępie szczęśliwym przypadkiem zapoznałem się z rodakami, uczęszczającymi w tym czasie na uniwersytet i politechnikę i zaraz do nich się przyłączyłem. Tworzyli oni związek, jakoby kadry pułku polskiego. Był zatem pułkownik, kapelmistrz i wszyscy inni dygnitarze pułkowi, ba! nawet sierżanta nie zabrakło szarży, którą godnie sprawował potomek pono niegdyś hetmańskiej rodziny W. Potocki z Kociubieńczyk. Lecz co ważniejsza, panowała tam najprzykładniejsza harmonja i braterskość, łącząca węzłami przyjaźni tak ściśle tę gromadkę zuchów, iż żyli w rzeczywistym choć wyidealizowanym komunizmie, mieli bowiem wspólną kasę pułkową, do której każdy członek składał cały swój dochód, a z której skarbnik pokrywał wydatki wszystkich. Jak wszędzie, tak i w tem małem kółku byli bogatsi i biedniejsi, kasa więc wspólna służyła, aby w delikatny sposób pomóc tym ostatnim. Stąd bynajmniej nie wynika, żeby ta młodzież była papinkowata, czułostkowa i pobłażliwa. Przeciwnie składała się ona z ostro zarysowanych jednostek i charakterów wybitnych, wrzała pełnią życia, gorące prowadziła rozprawy i zwady, stawała zacięcie w obronie swych przekonań, na pojedynki wyzywała, a gdy jeden z pomiędzy niej w r. następnym uchybił więcej niż lekkomyślnem postępowaniem godności Polaka, nie zawahała się, skoro wszelkie łagodne napomnienia nic nie pomogły, wykluczyć go z pułku i zerwać z nim wszelkie stosunki.

Z początku młodzieży tej było tylko dziewięciu: Hainz O. z Galicji, słuchacz medycyny; Herold E. z Galicji, filolog; Hołyński, człowiek starszy, żonaty, przed Nowym Rokiem wrócił jako filolog do Tarnowa; Lewicki Zenon, technik na ukończeniu, gente Ruthenus, natione Polonus z Galicji; Potocki W. prawnik z Podola austrjackiego; Skomorowski J. filolog z Królestwa; Stewich J. technik, z ojca Czecha urodzony w Puławach; Włyński, technik, mazur z Krakowa, Żeleński Władysław, słuchacz filozofji z Krakowskiego. Zaraz po Nowym Roku 1861 powiększyli tę gromadkę, zwiedzający wszechnice Europy środkowej już ukończeni nasi lekarze. Najprzód przybył Janikowski Stanisław, późniejszy profesor w uniwersytecie krakowskim; po nim inni z pod zaboru moskiewskiego, jak Bujko K., bracia Strzałkowie J. i H., Swido J., sami Litwini; Fudakowski H., ukrainiec, późniejszy profesor Szkoły głównej; wreszcie z Poznańskiego: Koszutski J., kolega mój z gimnazjum, i Stanowski Z. Tak więc były reprezentowane wszystkie dzielnice Polski w swych odrębnych typach, a przecież przez cały czas wspólnego pobytu w Pradze i później w życiu panowała pomiędzy nami zgoda i sympatja najserdeczniejsza, a węzły przyjaźni zacieśniły się tak silnie, że je tylko śmierć lub losy zawistne porwały. Każdy z nas przygotowywał się przez sumienne studja do swego zawodu, wszyscy

uczęszczaliśmy na prelekcje jak najpilniej. Prócz tego każdy z nas posiadał już zawiązek pewnych przekonań i zasad społecznych, które wtedy może zbyt jaskrawo się objawiały, mimo to nie psuły bynajmniej wspólnej harmonji, ponieważ wszyscy zgadzaliśmy się w jednem, że w ten, czy ów sposób każdy Polak wykształcony powinien pracować najprzód dla dobra ojczyzny, a potem dla siebie, nie powinien zaś nigdy obcym bogom, obcym ideom służyć, a już najmniej od nich spodziewać się zbawienia. Fudakowski i Janikowski byli stanowczymi pracy organicznej zwolennikami, reszta pragnęła wypędzić najprzód Moskala z kraju, bez czego wszelki inny wysiłek daremny. Jeden Żeleński w oryginalny sposób należał i do jednego i do drugiego obozu. Wychodząc ze stanowiska artysty-muzyka, oświadczył, że gdy w Polsce chwycą za oręż, on, jak kiedyś Tyrteusz, pieśnią bojową rozżarzy zapał wojaków i powiedzie ich do zwycięstwa; skoro zaś dobijać się będziemy niepodległości drogą spokojnego rozwoju i spotęgowania wszystkich sił społecznych, wtedy wzniosłymi utworami muzyki przyczyni się do podniesienia narodu naszego na najwyższy stopień cywilizacji.

(C. d. n.).



Sporne terytorja.

(Ciąg dalszy).

Szkoda, że p. Z. nie zaznaczył wyraźnie — czy i o ile język przytoczonych pieśni zgadza się z mową codzienną powszednią, boć przecie w Zakopanem śpiewają np. taką piosnkę pochodzenia słowackiego:

W syrym polu
Stoi lipka zielena,
A nad tom lipkom
Stoi woda studziena.
Kto tu wodu pił budzie,
Merchu zienku mieć budzie.

Ale tak przecie nikt tam nie mówi. A i sam p. Z. na początku drugiej rozprawy przyznaje, że na terenie polsko-węgierskim przez niego badanym, polska ludność „we wszystkich wyrażeniach i zwrotach, odnoszących się do religji i obrządków kościelnych, zachowuje brzmienie słowackie, bo tak to słyszy w kościele", (gdzie księża są wyłącznie Słowakami), a dodajmy — i w szkole (gdzie nauczycielami są też wyłącznie Słowacy); co więcej — słysząc jedynych przedstawicieli inteligencji, mówiących tylko po słowacku, uważa mowę tę za dystyngowaną i spotkawszy Polak tamtejszy obcego surdutowca, zaczyna mówić tym językiem wyłącznie, albo nim suto makaronizować własną mowę. Zupełnie analogiczne stosunki panują na Spiżu. Jak tu, tak i w Skalickiem, Słowacy na przyłączeniu tych terytorjów do korony św. Szczepana, zyskali przestronną możność słowaczenia ludności, nie będącej pierwonie słowacką, mimo niekorzystnych skądinąd warunków politycznych dla nich samych, stworzonych przez dążność unifikacyjną i madjaryzacyjną rządu węgierskiego. Jak na Spiżu, tak i w Skalickiem lud w ciągu całego wieku przekonywany w kościele, szkole i życiu publicznem, że jest Słowackim, sam już zaczyna mieć tam za takowy, mimo, że mowa i pochodzenie jego odmienne. Ale im dłużej tem mowa ta pozbywa się coraz bardziej cech polskości i słowaczeje z dniem każdym, a jednocześnie teren polskości maleje i topnieje. Słusznie p. Z. zaznacza, że w tej mierze między stosunkami, jakie zastał w Skalickiem A. W. Szembera w r. 1876, a temi, jakie teraz zbadał p. Zawiliński, jest już znaczna na niekorzyść polszczyzny różnica. Administracyjnie i politycznie okręg Skalicki należał dawniej do Śląska, i na dowód tego powołuje się p. Z. na mapę J. W. Wielanda wydaną w Norymberdze 1736 r. My byśmy mogli powołać się na późniejszą o lat dziesięć mapę, wydaną przez tychże samych co poprzednio spadkobierców. Tytuł jej: „La haute Silesie dessinée par les Heritiers de Ho n ann l'an 1746" również w Norymberdze, „exhibus ex mappa Hasiana". Na mapie tej, (gdzie mówiąc nawiasowo. miejscowość podana przez przez Z. jako Czerne wyrażona Czarno) całe to terytorjum wyraźnie zaznaczono jeszcze jako „confinia contraversa".

* * *

Ja te „confinia contraversa" nie ograniczam do kąta Skalickiego, bo one tu miały znaczenie tylko państwowe. Narodowo i etnicznie rozumiem je inaczej i rozciągnąłbym znacznie szerzej.

Wirowy szalony taniec, opisany przez p. Zawilińskiego, zwykły jest i na Spiżu. Widziałem go też w Slawonji i w różnych stronach państwa Węgierskiego. Na równi z czardaszem — namiętny, zmysłowy, tworzący wyborny pendant do kankanu francuskiego (co nie uszło uwagi samych francuzów) nie jest on produktem bezpośrednio słowiańskim, ale bardziej za pośrednictwem madjarskim, odziedziczonym, bodaj czy nie od namiętnych Traków i tylko transponowanym i zmodernizowanym przez Madjarów.

Gdzie indziej *) zestawiłem warjanty tych samych pieśni, śpiewanych na Spiżu i Podhalu.

*) P. rozprawę moją: „Z krainy zapomnianej".

Do tego zestawienia wciągnąwszy Śląsk (górny — kładę nato nacisk), mógłbym wielką ilość przytoczyć przykładów jego wspólności ze Spiżem i Podhalem. Dla braku miejsca ograniczę się na kilku pierwszych lepszych przykładach. Powyższa pieśń o lipce i wodzie — jakoby specyficznie słowacka, śpiewana na Podhalu tak brzmi w powiecie Rybnickim na Śląsku:

Stoi lipka, lipka zielona,
Pod tą lipką woda studzienna.
Kto tej wody pić będzie,
Szworne dziewczę mieć będzie,
Dziewcze szworne miłować będzie.

Zwracam uwagę, że zdaje mi się, iż zbieracz odnośnych pieśni śląskich, z którego zbioru cytuję — Dr. J. Roger — dowolnie zmieniał brzmienia i architektonikę wyrazów. Nic tu wszakże nie przeszkadza istnieniu pieśni.

Albo tamże w Rybnickiem:

Z góry, z góry
Jadą Mazury;
Jedzie, jedzie Mazureczek
Wiezie, wiezie mój wianeczek
Rozmarynowy.

Tak samo w Starej Wsi na Spiżu. Albo w powiecie Opolskim:

Ach, żebym ja to miał
Żonę, jak najprędzej,
Tobym już nie cierpiał
Dłużej takiej nędzy itd.

Tak samo na Spiżu. Albo Śląsku:

Dwie Marysie kochały się
I gadały o tem itd.

Pod Zubsuchem na Podhalu:

Ej zesły się dwie Marysie
I gadały o tem...

Dla małej liczby piosenek, cytowanych przez p. Z. ze Skalickiego nie mogę takiego samego przeprowadzić zestawienia, jeno wskazać na pewne rysy wspólności maniery i motywów, niekiedy śladów lub reminiscencji wspólności.

W Skalickiem śpiewają:

Za Tatry, chłopcy, za Tatry,
Jes tez tam zydacek bobaty,
Kieby sie béło uosmielić,
Wieru by sie béło cem dzielić.

O jawor, jawor zielony,
Przeco si smutny w jesieni?
Jakoz ja nimam smutnym być,
Kied se mnie spadnuł krasny liść.

A na Podhalu;

Pockaj-ze ty, zydu
Sworni chłopcy idou
Piniązki zabiorą,
Ty wyndzies na bidu
(z warjantami).

Jaworze, jaworze
Coś taki pękaty,
Co cie ozpucyły
Zbójeckie dukaty?

W Skalickiem:

Hory, hory, hory, lasy,
Uż mnie tu nie ciesy,
Ciesiwało už nie bedzie
Ciesić bedzie kaje indzie

Na Podhalu:

Sywarowe góry,
Sywarowe lasy,
Kany sie podziały
Nase młode casy.

W Skalickiem:

Hory, mile hory,
Wałaskie kómory,
Jedlicki, smerecki,
To nase świetnicki.

Na Podhalu:

Gory nase, gory,
To nase komory;
Bukowe listecki —
Nase podusecki.

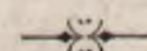
(C. d. n.)



SOCJOLOGJA.

I.

Historja i metoda socjologji.



(Ciąg dalszy).

Chrześcianstwo było nawskróś przeniknięte duchem Platońskim, dlatego też socjalne poglądy pierwszych chrześcian miały przeważnie Platoński charakter. Państwo i pra-

wo nie były to istności przyrodzone, a zawdzięczały byt swój Bogu, istniały dla większej chwały boskiej, bo tylko za ich pomocą czyni cnotliwymi obywatelami, a dopiąć może tego celu tylko wtedy, kiedy nad wszystkiemi ludzie zbliżali się do swego moralnego celu, do boskiego pierwowzoru. Pomimo zmian, którym w ciągu stuleci uległo socjalne stanowisko chrześciaństwa, zmian, które oddziałać musiały na niejeden jego dogmat społeczny (np. na pojęcie własności), zasadnicze zapatrywanie chrześciaństwa na istotę społeczeństwa, pozostało niezmienne. Czy weźmiemy jednego z ojców kościoła, czy też nowoczesnego przedstawiciela t. zw. chrześciańskiej socjologji, czy poetę Dantego Alighieri (autora politycznego pisma „De monarchia"), czy św. Tomasza z Akwinu (którego dzieło „De regimine principum" do dziś dnia pozostało najwyższym autorytetem w chrześciańskich naukach społecznych) albo twórcę „Utopji", męczennika za ideę, Tomasza Morusa, — wszędzie, z małemi tylko zmianami, naczelne stanowisko zajmuje Platoński pogląd zasadniczy. Przy jałowości tego poglądu nic dziwnego, że nauki społeczne przez cały długi okres panowania filozofji chrześciańskiej prawie żadnego nie zrobiły postępu, żadną nową poszczycić się nie mogły zdobyczą. Wyróżnia się korzystnie pod tym względem tylko Machiavelli; ale niezrozumiany przez spółczesnych, zyskał sobie w epoce późniejszej tylko sławę obrońcy politycznej demoralizacji.

Wiek osmnasty był szczególnie bogaty w pomysły o istocie, celu i zadaniach państwa, a wpływ tej politycznej i prawno-filozoficznej literatury nabrał za pośrednictwem rewolucji francuskiej wszechświatowego znaczenia. Ale naukowa jej wartość dla socjologji jest bardzo nieznaczną. Prawie powszechnie przyjęta teorja, wedle której społeczeństwo ludzkie jest wynikiem umowy (contract social), przed którą człowiek żył w idealnym stanie natury, t. zw. teorja „umowy społecznej" stanowiła bardzo problematyczny dorobek w badaniach o naturze społeczeństwa. Był to stary platońsko-chrześciański pogląd w nowożytnej racjonalistycznej szacie: miejsce stanu rajskiej szczęśliwości zajął stan szczęśliwej i cnotliwej dzikości, miejsce odwiecznych idei Platona zastąpiły przedspołeczne prawa człowieka, które właśnie owo stworzone drogą umowy społeczeństwo miało w całej pełni urzeczywistnić. Znamienną jest rzeczą, iż pierwszymi obrońcami tej teorji byli słynni jezuici Saurez i Mariana, którzy wystąpili z nią podczas walki władzy świeckiej z duchowną. Miała teorja ta poprzeć ich pogląd, że mandat powierzony władzy królewskiej jest odpowiedzialny i odwołalny. Od jezuitów przeszła ona do Anglji i znowuż przedewszystkiem do przedstawicieli kierunków religijnych: Jana Knox'a, Buchanan'a, Hooker'a i innych, a dopiero po nich wykształcili ją w rozmaitych kierunkach i rozpowszechnili klasyczni jej reprezentanci: Hobbes, Locke, Rousseau i inni. Najciekawszą stroną tej teorji jest niepodzielna i bezkrytyczna wiara, którą się ona cieszyła przez dwa blisko stulecia. Filozofowie i mężowie stanu przyjmowali zupełnie nieudowodnione przesłanki tej teorji „umowy społecznej" wprost jako aksjomata, jurisprudencja jeszcze i w ciągu naszego stulecia, długo nie mogła się wyzwolić z pod wpływu tych poglądów, nawet Kantowski krytycyzm godził się jakoś z Rousseau'a teleologiczną teorją państwa, a Fichte przecież najkonsekwentniej, aż do utopji, ją wykształcił Dopiero Hegel stanowczo zerwał z tą teorją umowy społecznej i zajął w filozofji prawa stanowisko, które w dalszym swym rozwoju powinno było napowrót doprowadzić do przyrodniczego poglądu na państwo i społeczeństwo, czego jednak następcy jego nie dokonali. To, co przez dłuższy przeciąg czasu pod mianem filozofji historji cieszyło się w Niemczech taką powagą, było tylko dowodem powszechnie odczuwanej potrzeby nauki o prawach rozwoju ludzkości, ale bynajmniej nie — jak to sama ta filozofja twierdziła — tą nauką właśnie. Ostatnia bowiem w żaden sposób nie daje się pogodzić z ogólnie panującym w owej filozofji historji aprjoryzmem i traktowaniem rzeczy ze stanowiska absolutnego.

Początki prawdziwie naukowego rozstrząsania zagadnień o naturze społeczeństwa należy odnieść do Spinozy. Pozornie dzieląc poglądy Hobbes'a, pojmował jednak Spinoza państwo jako twór natury, a mianowicie jako indywiduum, które znowu z kolei z osobników się składa, podlega tym samym prawom, co każda inna istota przyrodzona i posiada duszę, a jest nią wspólne poczucie sprawiedliwości i zgodność woli wchodzących w skład społeczeństwa osobników. Spotykamy się tedy u Spinozy znowu z Arystotelesowskim poglądem na przyrodzony i organiczny charakter społeczeństwa, ale uzupełniony zastosowaniem i na polu społecznem pojęcia praw rozwoju. W dziele, ogłoszonem w r. 1725 (Principi di una scienza nuova) Giambattista Vico domaga się dla zbadania natury społeczeństwa nowej nauki, któraby na miejsce wszechwładnie dotychczas panujących aprjorycznych pojęć postawiła doświadczenie, jako źródło poznania. W dwa dziesięciolecia później Monteskiusz w swym „Esprit des lois" usiłował dać opisową historję naturalną instytucji społecznych, dowieść ich empirycznego charakteru, naturalnego powstania i takiegoż rozwoju. Przywódca francuskiej szkoły antyrewolucyjnej i skierowanej przeciw teorji „umowy społecznej", de Maistre, podziela zapatrywania Vico'a, określając wszakże dokładniej metodę nauki społecznej, żąda bowiem,

aby każdą kwestję, dotyczącą natury społeczeństwa, rozstrzygano na podstawie historji. Condorcet dla badań nad zagadnieniami społecznemi przekładał metodę przyrodniczą, a dla nowej nauki proponował miano „socjalnej matematyki“. Zadanie jej miało zdaniem tego uczonego polegać na tem, aby: zmierzyć zjawiska społeczne, poznać rządzące niemi prawa, przewidywać na tej podstawie przyszłe wypadki i oprzeć na tem kombinacje, któreby pozwalały z coraz to większem powodzeniem zapewnić rodzajowi ludzkiemu dobrobyt i możność doskonalenia się. Poglądy Condorcet'a stały się przewodnią myślą klasycznej szkoły ekonomji politycznej, która po raz pierwszy zbadała i konkretnie udowodniła prawidłowość życia społecznego, aczkolwiek w jednej tylko dziedzinie. Zalecone przez de Maistre'a badanie historyczne znalazło zastosowanie w filozofji historji, z małym jednak skutkiem, gdyż pomijając rozwielmożnione aprjorystyczne traktowanie rzeczy, rozporządzano w owym czasie nieznacznym tylko materjałem faktycznym, obejmującym zaledwie historję ludów tzw. kulturalnych. Więcej rezultatów przyniosło prawdziwie naukowe opracowanie pojedynczych części historji, zwłaszcza historji kultury, lingwistyki, historji sztuki itd., które w sposób ścisły udowodniły prawidłowość rozwoju ludzkiego w rozmaitych sferach. Najbardziej jednak przyczyniły się do ugruntowania socjologji nauki przyrodnicze, antropologja, fizjologja i bjologja. Zwłaszcza ostatnie, których blizki związek z socjalnemi zagadnieniami każdemu rzucić się musi w oczy, stworzyły podstawę, na której August Comte zbudował nową naukę o społeczeństwie ludzkiem.

(C. d. n.).



☆ Nowe książki. ☆



Album biograficzne zasłużonych Polaków i Polek XIX. wieku.

Wydawnictwo, podjęte staraniem warszawskiego „Kurjera Niedzielnego“ pod tytułem powyższym, zawierać będzie życiorysy i portrety Polaków i Polek, którzy w dobiegającem stuleciu odznaczyli się na rozmaitych polach nauki, sztuki i pracy społecznej.

Komitet redakcyjny Albumu, w którego skład wchodzą wybitne siły literackie, budzi nadzieję, że doniosłego znaczenia przedsięwzięcie należycie wykonanem zostanie.

Pierwszy właśnie zeszyt wydawnictwa przynosi jedenaście treściwych zarysów biograficznych, przez specjalistów w rozmaitych gałęziach wiedzy skreślonych i tyleż portretów. Te ostatnie uzupełniają w świetny sposób słowo drukowane. Mówią one sercom czytelników i to, o czem zamilczeć musiały wytrawne, lecz spętane pióra. Czytamy, niby w otwartych księgach, w tych drogich rysach,

> Przez które przeszło tyle po koleji
> Podań i zdarzeń, żalów i nadzieji,
> Że każda twarz jest pomnikiem narodu.

Galerję rozpoczynają wodzowie legjonów: Dąbrowski i Kozietulski. Ileż sławy wojennej w tych dwóch imionach! Szable ich grały pieśń śmierci szczytom włoskich i hiszpańskich gór, Moskwy i Niemiec dolinom, ale dla Polski, dla drogiej, miały słodkie dźwięki zmartwychwstań i dla tego zdobyły serce narodu nie na znikomą chwilę, jak Neapol lub Somo-Sierrę, lecz — na wieki.

O laurach Wawru i wawrzynach Dębu każe nam z koleji marzyć Maurycy Mochnacki, żołnierz, krytyk, artysta, a zarazem Tacyt polski. W świetne czasy uniwersytetu wileńskiego przenosi genjalne, ciszą wielkich głębin tchnące oblicze Andrzeja Śniadeckiego i mniej mówiący, choć bardzo sympatyczny, wizerunek Euzebjusza Słowackiego. A Joachim Chreptowicz, inicjator Komisji Edukacyjnej, — a Czacki, z którego „wpływu i pracy mieć będą prawnuki dwie pamiątki najdroższe: język i nauki“, a Woronicz i inni — jakież światy wspomnień radośnych i bolesnych budzą w duszy, jakim wzorem cnót obywatelskich przyświecają młodszym pokoleniom! — Wdzięczność więc, szczera i żywa, należy się tym, co te świetlane postacie wyprowadzają z zapomnienia, aby swym blaskiem rozjaśniły zmierzch dni dzisiejszych i wskazały drogę, na której szczęśliwsze zdobywa się jutro!

M. W.



Wiadomości bibljograficzne.

Cenar Edmund. Szkoły ludowe w Szwecji. Na podstawie sprawozdania Dr. C. G. Bergmana, inspektora szkół ludowych m. Sztokholmu — tudzież własnych informacyj i spostrzeżeń. Skreślił... Lwów 1897. Str. 29.

Chodźko Ignacy. Pamiętniki kwestarza. Wstępem i objaśnieniami opatrzył Dr. Piotr Chmielowski. Czytelnia Polska. T. III. IV. 1898. Str. 127 i 173.

Encyklopedja ilustrowana wiadomości pożytecznych. Nakładem M. Arcta w Warszawie. Zeszyt 27.

Żywot i prace naukowe i społeczne Jędrzeja Śniadeckiego. Kraków 1898. Str. 188.



Z drukarni Z. Golloba.